5. Stycznia. **Nr. 10.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**

Cena:

kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „

Z dodatkiem:

kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.

Cena nru. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

I.

Co to już za psotny ten wiatr ukraiński!

Naharcował się po stepie, wystraszył ryby w stawku, zatrząsł starą wierzbą, i uległ się na kurhanie — niby zasnął... gdzie tam! obaczył polne maki — i dalej że w tany! Jak wziął wywijać, jak wziął okręcać!... aż czerwona namitka zleciała z głowy kwiecia, i na wstyd wypadło pozostać makówce z głową łysą... Kwiaty w śmiech, a swawolny wijun wpadł w trawy, potrząsł burzanami, i świszcząc jakąś piosenkę poleciał-poleciał, że ledwie zajrzysz na stepie!

Ta nielada-ż bo robota wzięła się psotnika, i wiedział do kogo ma przypaść z weselem.

Tam pomiędzy brzozami płynie czysta struga; woda chłodna-chłodna, a przejrzysz się w niej jak w lustrze kupionem na jarmarku...

W wodzie kiedy-niekiedy pluśnie zwinna rybka, obaczy coś — i w nogi! rozpowiada towarzyszkom o wielkiem dziwie.

A dziwa tu nie ma żadnego; tylko malutka w wodzie nóżka, dalej: czerwona galonami szyta spodnica, białe okrągłe ramiona, rumiane liczko i długa rusa kosa z byndami — tak niby dziewczyna nad strugą...

Nad potokiem stała,
W wodę się patrzała.
„Gdyby się tu zjawił,
Rękę bym mu dała.“

A w naszej Ukrainie śpiewają:

Stojit' diwcza nad wodoju,
W oczach zo slozoju:
„Prychod' prychod' kozaczeńku!
Odrużyś zo mnoju!“

Ale tak śpiewają o innej dziewczynie!

Ta stoi nad strugą, ot tak sobie... i nie myśli o niczem!

Może rybek dopatrzeć by rada w wodzie; a jakież dziwo, że nieproszone zjawia się liczko, kosa z byndami, namisto — i taki cała dziewczyna?... a taka już, że i rusałki nie trzeba!

Ta dziwoż bo z tą dziewczyną tam w wodzie! Czemu bo u niej usta jak z koralu, oko sine-sine, jak to niebo, co tu w wodzie i hen tam w górze wysoko, a kosa to aż za kolana sięga, niby chce pójść do wody!... Brwi jak dwa łuki, liczko rumiane, a jak usta otworzy, to zęby niby perły białe... o! — I otwarła usta.

A wiatr już dawno patrzył na nią z boku; przyszła mu ochota i dmuchnął na wodę! aj-aj! zmarszczyło się liczko niby u starej baby, a zęby krzywe, ta jak koły wielkie... fe! taka rusałka...

A no teraz!... Ij!... ta dalibóg śmiesznie!...

I co ty poradzisz z dziewczyną? Śmieje się do siebie, ta z siebie-ż taki samej! a dalej jak wzięła stroić do wody różne minki: to się nasroży, to skrzywi, to znowu się uśmiechnie... radość taka w strudze, i pusta wesołość u dziewczyny, że śmieje się-śmieje, a sama nie wie z czego; a dalej jak wziął wicher igrać z byndami, z kosą krasawicy, ba i czerwona spodniczka mu na zawadzie... nu! — dobrze, że na stepie nie ma żywej duszy; a to wypadło by się zarumienić, taka z tym wiatrem nieporadna godzina!

Ale coż ty poradzisz z pustakiem!

Niech tam sobie wieje i bawi się z byndami; tyle by i *horia* dziewczynie! a u niej smutku nie mało...

Ot niedawno jagniątko zapadło, że mu rady nie dać; coś się *czarnobrewcom* stało, że zakwitać nie chcą; przerwały się korale... i dużo dużo kłopotów ma jeszcze Handzia, i smutku tyle, że chyba płakać, *taj hodi!*

Ta i doprawdy na smutek się jej zbiera. Usiadła na kłodzie pod brzozą; jakoś tak dziwnie dziewczynie... westchnęła głęboko-głęboko, gdzieś aż z pod serca, łza się kręci w oku... i ani wie, że tęskna piosnka płynie już z jej piersi hen gdzieś strugą, ta stepem.

Na Ukrainie nie wołasz, a dumka sama przypyta się — napaśna!

Aż i wiatr zasłuchał się w pieśni dziewczęcej, — tyle tam krasy i serdecznego smutku! Zaprzestał swawoli, i tęskną nutę roznosi het po stepie:

Bujnyj witre w poli

Śpiewa dziewczyna:

Popytaj u doli
Czy horazd bude?
Czy mij sokił sywyj,
Kozak czornobrywyj,
Ta do nas zajde!

— *Oś win, moje serdeńko!* — zawołał w tej chwili dźwięczny męzki głos, aż całem ciałem zatrzęsła się Handzia, i »łyszeńko!« krzyknęła, ujrzawszy przed sobą młodego na koniu kozaka.

— *I ja do spodobu!* — przypadł w tej chwili drugi kozak na spienionym koniu. Jak z pod ziemi dwóch się ich wzięło na stepie, i patrzą na dziewczynę.

A Handzi tak już jakoś dziwnie ta niezwyczajnie!... I lękaćby się to nie ma czego, i sromać się nie ma poco, a przecież serduszko tak się bije w piersi... Jedną ręką zakryła jasne oczęta, drugą gra się z byndą wzorzystą.

Ta zkąd się ich dwóch wzięło?... myśli sobie w dumce. I kozakom nie w smak jakoś ich kompanja; z podełba mierzy jeden drugiego wzrokiem... a niedobre tam patrzy z ich oka, i niby pyta: Jakiego biesa stoisz tu na zawadzie?

— *Jak tebe zowut'? diwczyno!* — zapytał pierwszy kozak, i nim się jeszcze Handzia namyśliła co mu odpowiedzieć, a tu drugi zsiada z konia, i do niej.

— *Zasie!* — krzyknął pierwszy, aż się Handzia przelękła. — Ja tu pierwszy — ja lepszy! — i następuje koniem.

Drugi kozak zmarszczył brwi, i do lewego boku sięgnął... ale się zmiarkował, i »W swoją drogę!« — rzekł spokojnie do kozaka.

— Nie koniecznie!

Zakrawało na niedobre, bo szable gwałtem cisnęły się do rąk kozackich.

— Stójcie! — krzyknęła dziewczyna, stając pomiędzy dwoma zapaśnikami. — Jaka wam wola do mnie?

— Mnie z tobą *perepełyczko* żyć i umierać! — rzekł kozak, który zsiadł z konia.

— I mnie to samo! — odpowiedział drugi.

— A no! wybieraj dziewczyno!

— Wybieraj!

Handzia stanęła kraśna jak ta kalina w jesieni. Co tu jej począć? kiedy ona pierwszy raz w życiu sama między dwoma kozakami... ta choćby którego przedtem widziała w oczy! Ot wywołała sobie licho stepową piosnką!

Spojrzała! Ta i kozacy-ż to chwaty, że i we śnie takich nie przyśniła! Ten rusiawy, niby młody jawor! a tamten czarniawy — równy jak sosna i wysoki... Zebrałoż się dwóch na biedę!...

— Jakże będzie? dziewczyno! — pytają obydwa.

Co tu im u Boga odpowiedzieć?...

— Ta czegoż bo wy odemnie chcecie? — pyta wreszcie zakłopotana.

— Wybieraj: który do spodobu?...

— Jakże mnie wybierać, kiedy ja żadnego przed tem nie widziała w oczy.

— Teraz widzisz — powiadają, napaśni!

Oto licho naszło dziewczynę!

— Jest u mnie tatuś siweńki — powiada po chwili — to oni myślą o Handzi, a mnie nie przystoi zachodzić się z wami. *Proszczawajte!...*

Czarniawy zatrzymał odchodzącą.

— Stój Handziu — powiada. — Jednemu z nas sądzona dola — nie darem zeszli się na stepie; ja tobie w wyborze dopomogę: *Chto duszczyj toj łuczczyj!* Złaź kozacze! pójdziemy na próbę. Ty mnie powalisz — twoja dola; ja ciebie — nie pokazuj się na oczy!

— Zgoda — odpowiada rusiawyj i złazi z konia.

Jaki lęk wziął dziewczynę, to i opowiedzieć trudno! Oni się *dużać* mają — jeden z nich może nie wstanie z ziemi, a może obydwa śmierci pożyją... *Łyszeńko!*

Uwiązali konie u wierzby nad strugą; jeden, drugi probuje żylastej ręki; stanęli. — Oddają sobie rycerski pokłon, i zbliżają się powoli.

Serce Handzi bije się jakby wyskoczyć chciało; ze strachu zamyka oczy — otwarła je po chwili.

Niby dwa wichry, wzięli się pod siłę: gną się, wyginają, a jeden drugiego złamać nie może! aż ziemia zda się stękać od ich siły, i ustępuje im z pod nóg, że dalej - dalej wkopią się po pas... nie pomoże! równa obu siła!

— A nu! *po łycarski!* — powiada czarniawy.

I już obadwa na koniu.

Rozjechali się stepem; mkną strzałą naprzeciw siebie, a spisy przodem! Zwarli się jak dwie tucze — spisy poszły w drzazgi, i szable zdały się na nic!

— Był ja w zamku — powiada pierwszy kozak — sławnym siłaczem, i aż tu w stepie znalazł sobie równego!

— I mnie — powiada drugi — pierwszyna, że mojej sile dotrzymano.

— Nie poradzić nam, chyba na pistole!

— Stójcie! — krzyknęła Handzia. — Mnie waszej śmierci nie trzeba. Żadnego z was nie chcę.

— Nie na wiatr szły słowa — powiada czarniawy. — Jeden z nas twoim. Stawaj kozacze!

— Ja nie chcę śmierci — krzyknęła dziewczyna — *Het'te pistoli!* Nie chcecie woli tatusia, to posłuchajcie mojej. Jest hen za morzem pogański kraj bisurmanów, a u ich carówien takie spodnice, że słońce, miesiąc i gwiazdy wbiera w siebie materja — słyszałam od tatusia — a to się zowie termołamą; kto mi taką spodnicę przywiezie z za morza — ten weźmie Handzię czarnooką jak swoją. — Tu wam kozacy ostatnie moje słowo.

— *Proszczawaj diwczyno!* ubiorę cię w termołamę — zawołał rusiawy.

— A ja w dodatek kopę przywiozę carówien — dodał czarniawy, siadając na konia.

— Wspominaj dziewczyno Dmytra!

— A mnie wołają Hnatem. Bądź zdrowa!

— Kozacze! — rzekł Dmytro do Hnata — Step szeroki, świat szerszy jeszcze, a nam dwom zaciasno — nie stawaj że ty na mojej drodze! to moje słowo ostannie.

— I ja drugiego nie powiem! — odpowiedział Hnat kozakowi.

Pokłonili się dziewczynie, i znikają w zielonym stepie.

Handzia długo stoi u strugi: to za tym, to za tamtym kozakiem spojrzy.

Czy się śniło, czy co? Wzięli się jak z pod ziemi, znikli niby pod ziemię... Dziwa w stepie, taj koniec!

Dziewczyna poszła do chaty. Czy powiedziała, czy nie powiedziała ojcu o spotkaniu z kozakami, a dalej i zupełnie zapomniała o tem. Młoda — gdzie jej tam myśleć o *witrohonach!* a i termołamę wymyśliła, aby się ich pozbyć tylko... U Handzi co innego na dumce!... (C. d. n.)

DO ŻYCIA!

W odwiecznym toczy się świat kołowrocie,
Wszystko oddane w ruch, i w ciężkim pocie
Pochód odbywa się narodów rzeszy:
Wszystko się sili „naprzód!“ — wszystko śpieszy!

I Ty, o ludu mój! starem korytem
Płynąłeś z wieków czołem niepożytem,
A oceanów obszary i lądów
Były kolebką poczesną twych prądów.

I stałeś mężnie Ty wśród potęg ziemskich,
Aż zeszła gwiazda nocy betleemskich:
I uczyniła cud w światów przewrocie
I rozmiliła świat w duchowem złocie.

To wtedy padł jej blask i przez twe progi:
W gruzy sypały się domowe bogi,
Jako: gdy słońce miesięczny blask zetrze
Zbladły przed światów dniem, księżyce w Retrze.

Ale też stanął zegar twój, mój ludu:
Zrobiłeś miejsca dla większego cudu,
Co szczepił balsam różanemi usty,
Kąt wypróżniony dłań w chacie — lecz pusty!

Skruszyłeś stare anioły twej strzechy,
Lecz wmiast nich dotąd tej nowej pociechy
Nie postawiłeś w oratorjum swojem,
A kąt twój święty zarasta powojem!

Dziś — śpi Twój żywioł w ścieśnionem korycie:
Stareś rozburzył — nie dał nowe życie!
Ale to twoję senność nie pocieszy:
Patrz — jak tam wszystko prze się! wszystko śpieszy!

Wszystko!... i biada temu, co w pochodzie
Stanie tym wiecznym prądom na przeszkodzie:
Padnie — co ręce opuści wśród boju!
Padnie — co pośród ruchu jest w zastoju.

Przeciągła walka, bezustanna praca
Jedno wytwarza a drugie wywraca:
Nigdy się przed nią nie ostoi senność,
Przejdzie ospałych, lub zabierze w lenność.

Biada, kto zaparł potęgi żywotne!
Sennego ujmą niewole sromotne,
Nic nie rozjaśni mu noc wieków długą:
Bezwiednym w obec siebie — cudzym sługą!

Więc czas nam otrząść sny! czas pobyć w pocie!
Lecz oczom naszym wprzód utkwić w Golgocie,
I z pustej chaty wyjść na wielkie zorze,
I pod swą strzechę prosić blaski boże.

Z nich krzepkość wielka ten żywot poświęci:
Woń się rozleje z naszych sianożęci,
Miód z naszym chlebem będzie, hart z lemieszy,
Przezrocz z powietrzem... Czas nam! wszystko śpieszy!

Bronisław Komorowski.

ODJEŻDŻAJĄCEMU DO MOSKWY.

Odjeżdżasz w ciemną krainę, posępną,
Gdzie serce, drżące z trwogi i boleści,
Przybiera na się spokojność podstępną,
I w wnętrzu swojem, jak w świętej skarbnicy,
Chowa relikwje miłości i cześci,
Żal i nadzieje — płomię przy łzawnicy.
Na taką drogę jakie słać życzenia!
I jaki szczęścia widnokrąg zatoczyć?...
Dam jedno tylko: niech widok cierpienia
Innych potrafi boleść twoją stłoczyć
Na hart duchowy, co z ciebie, śród wiela,
Dzielnego stworzy pocieszyciela.

J. T.

TUŁACZE.

Święta ziemio Ukraino,
    Ty cudownych czarów dziecię!
Dnie mi tutaj tęsknie płyną,
    O, bez ciebie źle na świecie!

Na twych stepach, krytych trawą,
    O italskiem śniłem niebie...
Dziś mi w Alpach tęskno, łzawo...
    Dziś w Italji szukam — ciebie!

Gdy Dniepr szumiał pod nogami,
    Miałem w myśli Ren, Sekwanę...
Dziś ich wody mącę łzami —
    Nad twym brzegiem o! nie stanę!...

O Paryżu, o Londynie
    Śniłem kiedyś — ot, szalony!
Dziś tu życie tęsknie płynie,
    Myśl w kijowskie rwie się strony.

Na szeroki step, mogiły,
    Nad Dnieprowe leci wody...
O, daj spocząć Boże miły
    Tam, u wiejskiej gdzie zagrody!

Pozwól młode złożyć kości,
    Gdzie składali ich ojcowie...
Tego wróg nam nie zazdrości!
    To ostatnie nasze — wdowie...

Tam, nie tutaj na obczyznie,
    Gdzie mi łzawo żywot płynie,
Pozwól spocząć mi w ojczyźnie,
W kraju mogił — Ukrainie.

TAJEMNICZY LOKATOR.

Zdarzenie prawdziwe.

Był czas kiedy mieszkałem w Warszawie; co jest rzeczą bardzo zwyczajną, nie dla tych jednakże, którzy wcale w Warszawie nie byli; a chociaż nic wspólnego nie mam z senatorami, i może dla tego właśnie, miałem parę pokojów przy ulicy Senatorskiej, w kamienicy spanoszonego kowala, który ze swej strony miał żonę i córkę, czego ja znów nie miałem.

Pan Łukasz (takie miał imie właściciel kamienicy) oddawna już nie wystukiwał młotem, poprostu dla tego, że miał pieniądze; zato krew jego, w osobie córki panny Elwiry, wyręczała go grą na fortepianie, który umieszczony za ścianą mojej sypialni przyprawiał mię o dotkliwy ból głowy i nieustający szum w uszach, jakbym doglądał młewa.

Dla panny Elwiry fortepian był kowadłem, a panieńskie palce dość zręcznie młot reprezentowały... przynajmniej takie porównanie zrodziła moja głowa cierpiąca z powodu jej nieznośnego grania na starym jak świat; a zawsze rozstrojonym klawicymbale, któren modnie fortepianem zwano.

Dostawszy zawrotu głowy, gdy razu pewnego usiłowałem przeniknąć co jest nademną — straciłem następnie chęć dochodzenia tego nawet, co się dzieje pod mojemi nogami, i od innych dopiero dowiedziałem się, że pokoik pod moją sypialnią zajmował lokator bardzo podejrzany dla wszystkich, a następnie już i dla mnie.

Tajemniczo wchodził do pokoju w nocy; wychodził zeń o świcie, a do środka nikogo nie wpuszczał, i dzień cały spędzał po za obrębem kamienicy, co bardzo gorszyło tych, którzy jej nigdy nie opuszczali.

Dopiero niedziele i święta okazywały w tajemniczym lokatorze młodego, dość przystojnego człowieka, który dla czego znikał ze świtem, w dnie powszednie? nie tylko ja, ale pan Łukasz z żoną i córką nie wiedzieli.

Pana Łukasza dręczyła ciekawość, i zarazem miał obawę, by coś strasznego nie odkrył w lokatorze. Parę nocy nie spał, naradzał się z żoną... i ostatecznie zdecydował się pójść na wywiady.

Cicho, w pantoflach, zbliżył się do dziurki od klucza, chcąc w nią zajrzeć — niestety! dziurka była zatkaną, a okno przysłonięte czarną firanką.

Dziurka zatkana... firanka czarna — rzeczy niezwykłe! bardzo może ukrywać się w tem jakaś okropność... i pan Łukasz naprawdę stracił apetyt!

Młody nieznajomy zaintrygował wszystkich; najbardziej zaś pannę Elwirę, a raczej najmniej, bo ta była przekonaną, że tajemniczy nieznajomy musi być koniecznie, jak w romansie, ukrywającym się księciem krwi... wielkim rycerzem... wreszcie — rozbójnikiem! (Ach, jak to pięknie!...) Ale rozbójnikiem tkliwym, śpiewającym rzewne pieśni w cześć swojej kochanki, której kosztowności wprawdzie zabrał do kieszeni... ale tak jej pięknie śpiewa, tak ją kocha czule... O! niemasz jak rozbójnik! A ponieważ panna Elwira miała twarz sentymentalną, bo z nosem opuszczonym, włosy krucze i szyję łabędzią — nic też dziwnego, że zaczęła dłużej siadywać przed lustrem, czulej zawracać oczyma odczytując romans zeszłowieczny, i na utrapienie mych uszów — grać na fortepianie.

Pokazało się z biegiem czasu, że tajemniczy nieznajomy wnosił czynsz regularnie na pierwszego; w niedziele i święta miewał dość świeże ubranie i nie wykrzywione buty; damom kłaniał się z gracją, a nawet nosił szkiełko...

Pana Łukasza jakoś odbiegł powoli lęk okropności, i pewnego poranku zadecydował, że nieznajomy jest jak należy, i po naradzie z żoną, a ku wielkiej radości córki, zaprosił go na herbatę... co w słowniku mieszczańskim oznacza: przyjęcie do familijnego grona.

Nazajutrz miałem wizytę pana Łukasza.

— Zupełnie jak należy — rzekł na wstępie. — Powiadam panu: chłopak czysty jak bursztyn! (A jam temu nie winien, że pan Łukasz nie znał się na kapuścianych bursztynach!) — Jest hart! dodał — o, jest! i pachnie paczulą — znak, że z dobrego domu!...

— Ale o kim że mowa? — zapytałem.

— O Henryku! o tym, co tu mieszka pod panem. Tylko dziwak! prosi, by mu przebaczyć, że nigdy do swojego pokoju nie wpuści, bo to jego słabość... Uważasz pan! osobliwsza słabość!.. No! ale ja nie doktor; nie chcesz — nie pójdę! Do widzenia! bo muszę dopatrzeć czy blacharz dobrze naprawia rynny.

Dzięki wizycie pana Łukasza wiedziałem, że młody nieznajomy nazywa się Henryk; później widziałem go u gospodarzy domu. W mojej obecności milczał; mógł więc być bardzo mądrym... naco w zupełności godził się pan Łukasz, a panna Elwira odkryła w nieznajomym bardzo wiele nieporównanych przymiotów.

Co do mnie byłbym się może równie jak rodzina państwa Łukaszów zentuzjazmował nieznajomym, gdyby nie katar szkaradny, a następnie wyjazd mój z Warszawy.

Za powrotem, po dwutygodniowej nieobecności, spostrzegłem, że panna Elwira częściej wzdycha, w melancholicznej postawie i bardzo wyciśnięta siaduje przy oknie, i zamiast roboty na tamburku, kłuje tylko palce, a głównie: rzadko gra na fortepjanie, i tylko łagodnie piano... Z tego wyciągnąłem wniosek, że panna Elwira zakochana — i niewątpliwie w tajemniczym nieznajomym.

Nie myliłem się. Pan Łukasz z miną wiele dającą do myślenia odprowadził mnie do okna, i dobrotliwie uśmiechając się rzekł, zwrócony w stronę córki:

— Elwira ma coś na sercu.

Owo coś było nic innego, tylko pan Henryk.

— Ha! szczęść Boże! — rzekłem.

— Tylko uważ pan, co to za śliczne będę miał wnuki!... Elwira — no; ale Henryk...

— Zdaje mi się — rzekłem — że jego nos...

— To kłopot! jeden kłopot — ruszył się pan Łukasz. — Gdyby nie te opuszczone nosy u obojga, byłbym najszczęśliwszym z ludzi!... Wnuki także będą miały opuszczone nosy; a ja tak lubię perkate!...

— Można na to poradzić — rzekłem, widząc szczere zmartwienie pana Łukasza — mianowicie: podciąganiem dziecku nosa do góry... Tym sposobem nos staje się zadartym.

Rada ta trafiła do przekonania pana Łukasza; ucałował mię po trzykroć, i na próbę późniejszej praktyki z wnukami pociągnął za nos Elwirę, co wywołało dwa duże rumieńce na jej twarz, i wykrzyknik »no!« karcący niewczesny żart ojca.

Lecz kim był nieznajomy?

Wpadano na najrozmaitsze domysły; ale panna Elwira była najmocniej przekonaną, że Henryk to jakiś wielki człowiek, który niezawodnie musi gdzieś mieć pałac, wiedeńską karetę i służbę galonową — rzeczy, za któremi córka pana Łukasza tęskniła od upowicia, a co niezmiernie cieszyło matkę, było bowiem nieomylną wróżbą, że Elwirę czeka świetna karjera.

Pokazało się w końcu, że Elwira jest zakochaną w Henryku na śmierć, jak utrzymywał pan Łukasz, i w skutek tego postanowił on rozmówić się z nieznajomym i wybadać: jakie ma zamiary względem córki uczciwych rodziców, bo tu nie ma co czekać... (I w myśli mignął panu Łukaszowi wnuk, którego nosek będzie on podciągać

do góry — zaco jednak nie ręczę!). Chciał nawet mnie użyć do pomocy; ale na szczęście, czy nieszczęście tegoż dnia wyjechałem ze stolicy, nie powróciwszy aż po upływie kilku tygodni.

Przyjechałem w późną noc; zasnąłem smacznie, śniąc o niebieskich migdałach; gdy naraz budzi mię ze snu straszliwy, przerażający marsz Liszta, który zda się w kawały roztrzaskiwał fortepian!...

Uczułem jak twarz moja przeciąga się na łokciową długość.

— Panna Elwira gra o świcie, i przytem najstraszliwsze pod słońcem fortissime... zły znak! musiało się coś stać niedobrego!

O dziewiątej poszedłem do państwa Łukaszów.

Gospodyni domu wykrzywił się czepek i nos nabrał koloru biskupiego t. j. fioletowego; Elwira była tak blada, tak blada, że śmiało mogłeś ją przenieść na płótno, by u strumienia oczekiwała na zdrajcę kochanka... byłby to cenny sielankowo-romantyczny obraz! Pan Łukasz wywiesił poważnie kołnierzyki, i z wielką znajomością muzyki wybijał palcami na szybie okna nutę znanej piosneczki.

Przywitanie było smutnem, kawa nie mniej wesoła; a po kawie wziął mię pan Łukasz na fajeczkę do swego pokoju, którą zapaliwszy rzekł z westchnieniem.

— To pan wiesz co się stało?...

— Nie wiem! — odpowiedziałem.

— Et! — kiwnął ręką pan Łukasz — paskudztwo!

— Jakto?

— A tak! — Odkryło się... Wiesz pan: kto jest Henryk?

— Książę krwi? — rzekłem.

— Gdzie tam!

— Hrabia? baron?

— Ale!...

— Milioner?... czarnoksiężnik?... Może konspirator? — zapytałem ciszej, bo w Warszawie i ściany mają uszy moskiewskie.

— Gdzie tam! — smutnie westchnął pan Łukasz.

— Ktoż u licha? — zapytałem zniecierpliwiony.

Pan Łukasz spojrzał na mnie jak baranek, dający głowę pod nóż rzeźnika, i rzekł łagodnie:

— Kominiarz.

Skoczyłem w tył trzy kroki.

— Cooo?

— A nic! prosty kominiarz, taj koniec! Ja zaraz mówiłem... Ot, żal się Boże, żem mu podawał rękę... Tfy! z sadzą... — i tu otarł rękę, na której wcale sadzy nie widziałem.

— I nieboraczka Elwira upadła z pieca na łeb!

— Czy być może? — wykrzyknąłem najnaturalniej, nie zrozumiawszy przenośni wyrażenia.

— A prosta rzecz! Myślała, że pana Boga złapie za nogę, a tu z gładkiego panicza — kominiarz... Tfy! taj koniec. Ot, dopust boży!...

— Czemże się skończyło? — zapytałem po chwili.

— A niczem: Elwira zemdlała, my oboje pochorowaliśmy się. Kominiarzowi wypowiedziałem komorne; teraz trzeba szukać czynszownika i zięcia... Ale dobrze mówią: nie ma złego, bez dobrego.

— Czy i tu jest jakie? — zapytałem zdziwiony.

— A ma się rozumieć. Teraz wybiorę zięcia z nosem zadartym.

— A tak, to bardzo praktycznie!...

— Otoż to. — No, a teraz na zmartwienie może po kieliszeczku?...

— O! cywilizacjo! — pomyślałem, gdy mi przyszło spełnić kieliszek żytniówki.

— Biedna Elwira! biedny kominiarz!

Korespondencje.

Tarnów. — *W grudniu 1867.*

Wywiązując się z przyrzeczenia, posyłam do „Nowin“ te kilka słów wstępnych z Tarnowa o Tarnowie.

Z powodu wielu okoliczności nie mogąc podawać wieści miejscowych dziennych, miałbym żywą chęć rozpocząć od przeszłości i w listach nakreślić grodu naszego historją, czerpiąc z źródeł, nasłuchując podań miejscowych, trącając o wiekowe zwyczaje, wiążąc mianowicie ten gród starożytny z ogólnym biegiem dziejów naszej ziemi i wspomnieniem czynów tych wielkich mężów, którzy tu swoją mieli siedzibę, a dziś jeszcze patrzą na nas marmurowem okiem wspaniałych pomników...

Zanim — jeśli będzie wola szanownej Redakcji*) — opiszę co u nas w Tarnowie było i co jest, dziś zwracam się ku temu, czego jeszcze u nas nie ma, a czego nam potrzeba.

Wypada przyznać na pochwałę obywatelstwa miasta Tarnowa, że w ostatnich latach nie pozostało w tyle za postępowym prądem naszego czasu, cechującego się mianowicie stowarzyszeniami. I tak od kilku lat założono tutaj Kasę oszczędności, Fundusz rzemieślniczy miastowy, Bank zastawniczy, Straż ochotniczą ogniową i t. p., lecz dla tej nędzy gołej, co to rękę zmuszona wyciągać o wsparcie, co to błąka się wyrzutem społeczeństwa, przekazując się z swemi łachmany kryjącymi, zgorzeliną jadu społecznego, wypalone serce — bardzo mało uczyniono.

Istnieje wprawdzie u nas Towarzystwo dam dobroczynnych, nawet jest Instytut ubogich i skromna Ochronka dla sierót płci żeńskiej **), lecz mimo i w obec dość licznie rozstawionych stróżów bezpieczeństwa i porządku publicznego (nawiasem — w ułankach!) opada przechodniów codziennie, w miejscu najwięcej uczęszczanem od paru lat taż sama zgraja obszarpanych dzieci, i wynędzniała, z wyrazem rozpaczy, młoda kobieta, dźwigająca dziecię na ręku, które wraz z nią wyciąga już chciwie rączkę słabiuchną o wsparcie... To jest, co nas przeraża!

— Czemu nie idziesz do rzemiosła? — pytałem jednego z tych nieszczęśliwych.

— Nikt mię nie chce przyjąć — odpowiedział — bo niemam odzienia...

---

*) Prosimy. *Red.*

**) Wedle sprawozdania z r. 1866 utrzymywał ten Zakład 31 sierót; majątek zaś jego wynosił 7140 złr.

Prawda czy nie — a porachujmy: gdyby taki żebrak tylko 15 cent. dziennie wyjęczał, to przez rok złoży się suma przeszło 50 złr. I czyż się godzi, by tak pieniądz marniał i to na własną społeczeństwa szkodę, która w ten sposób żywi przyszłego mieszkańca domów karnych? Czyż nie byłoby lepiej, ograniczywszy o ile możebna, żebraninę publiczną, zbierać jałmużnę na innej drodze i robić z niej odpowiedniejszy użytek?... Czyżby to nie mógł powstać w naszem mieście jaki Zakład dla opuszczonych chłopców, Dom roboczy dla starszych żebraków? ile, że żadnej nie ma takiej fabryki, gdzieby ubóstwo znajdowało stałe zatrudnienie; dalej, czyżby dobroczynność ogółu lub prywatna nie mogła wznieść jakiego Zakładu miłosierdzia, który by nietylko koił nędze fizyczne, lecz i szerzył oświatę między niższą warstwą?...

A cóż powiecie na to, że miasto Tarnów, prócz przepełnionej szkoły trywialnej (3-klasowej) nie ma innego publicznego Zakładu wychowawczego dla płci żeńskiej?...

— Brak funduszu?!... Nie sądzę, skoro się świeżo oto, w przeciągu roku wzniosła wspaniała Strzelnica z polem, głęboko w ziemię wkopanem i obok roztoczył całkiem z nowego złożony ogród, trzynasto-morgowy — i to kosztem majątku miejskiego i z pomocą składek! Dziwna to była fantazja marsowa Sł. Rady miejskiej i zbytnia może troska o przyjemność publiczności, licznie używającej swobody Szabasu, podczas gdy młodzież gimnazjalna gniecie się, gniecie powtarzam, w izdebkach w trzech różnych budynkach!...

Lecz również nie pojmujemy także, jakie powody mogły skłonić nowozłożoną Sł. Radę, że od ręki odmówiła prożbie niejakiej pani Czajkowskiej z Rzeszowa, która przed początkiem zeszłego roku szkolnego ofiarowała się otworzyć wyższe klasy panieńskie, za opłatą 1 złr. miesięcznie od panienki, byle miasto użyczyło lokalu i moralnego poparcia. Podnieść jednakże obok musimy z uznaniem, że się między tutejszem mieszczaństwem znajdują tacy, którzy dobro miasta rzetelnie pojmują, gdyż myśl otworzenia wzmiankowanego kursu, któryby chwilowo gwałtownemu niedostatkowi odpowiedniej szkoły żeńskiej zaradzał, poddał rzeczonej osobie, obywatel Anastazy Rusinowski, właściciel drukarni i Radny miasta.

Dalej! Nie pytajcie u nas o jakąś publiczną czytelnię, lub wypożyczalnię książek dla warstwy niższej, skoro nie mamy w miejscu postępowego browaru, i pijemy piwo np. z Grybowa, a młyn parowy przed kilku dopiero laty wzniósł przemysł izraelicki.

Czego głównie nie dostaje miastu naszemu, to jakiejś wybitnej osobistości, któraby przodowała znaczeniem i zamożnością w sprawach dobroczynności publicznej i dawała popęd swą radą i wpływem do społecznych ulepszeń. Obecni dziedzice włości i wielkiego imienia Tarnowskich i Ostrogskich usunęli się za miasto; zacny proboszcz miejscowy, kanonik M. Król, dożywszy sędziwego wieku stracił dawną energję! Nie mamy — ktoby się u nas zajął sprawami naglącemi...

Radzibyśmy mieć jaki taki d z i e n n i c z e k m i e j s c o w y; zaniesiono w tej mierze prożbę do Rady, aby przez ogłoszenie sprawozdań z posiedzeń i czynności swoich, lub udzielenie zapomogi ułatwiła takowego powstanie; lecz i ten wniosek spoczywa gdzieś w biurze Sł. Rady.

Wreszcie stawimy kilka skromnych pytań: czy nie mogłaby się u nas połączyć Kasa oszczędności z Bankiem zastawniczym i Funduszem rzemieślników? Czyżby Instytut ubogich, który posiada fundusz około 10.000 złr. nie mógłby się połączyć z Ochronką i znacznym szpitalem miejskim, aby utworzyć o wiele użyteczniejszy Zakład miłosierdzia, jak np. św. Łazarza w Krakowie?

Liczymy także wiele na mające powstać Kasyno obywatelskie, względem którego już podanie do Wys. Rządu przesłano. Mamy tu wprawdzie Kasyno, lecz w niem istotne mieszczaństwo udziału nie bierze.

Jeszcze jedno! Dowiadujemy się, że pan Sztengel, dyrektor bawiącego tu obecnie Teatru Stanisławowskiego, ma pozostać stale w naszem mieście z Towarzystwem, zatrzymany przez Radę miasta ofiarującą teatrowi bezpłatny lokal i niewielką pomoc pieniężną. Cieszymy się że Sł. Rada zrozumiała korzyść socjalną, nawet i materjalną, jaką odnieść może miasto z miejscowego teatru, która nagrodzi zapomogę w rocznych może 500 złr., ile, że Sł. Rada może sobie przy ugodzie wymówić kilka przedstawień na cele dobroczynne miasta. Wtenczas słusznie rościć sobie będzie mógł Tarnów prawo do pierwszeństwa po naszych stolicach.

Za uwzględnieniem tego faktu przemawia i osobistość pana Sztengla, który jako dyrektor zadowalniał publiczność, nie tylko doborowym, lecz i całkiem świeżym repertoarzem, przy wcale dobrej grze artystów, a nawet zaznajomić usiłuje publiczność naszą z arcydziełami jak *Otello*, S z e k s p i r a. *Marja Stuart* S c h i l l e r a. Gościła tu znakomita artystka krakowska panna H e l e n a M o d r z e j o w s k a, i występywał pan J ó z e f B e n d a, znany ze zdolności artysta. Nie wątpimy, że przy poparciu ze strony ogółu teatr pana Sztengla utrzyma zajęte przez się trzecie miejsce w rzędzie teatrów w kraju. *Winc. Lubiza.*

Mody.

Z noworocznym podarunkiem dziewięciofigurowej ryciny staję przed wami piękne panie, oczekując... Pocoż mam mówić? Te dziewięć nimf balowych wymowniej rzecz całą przedstawią, aniżeli w s z y s t k i e c z a r n e ś l a d y m o j e g o p i ó r a... (Tę figurę (nie modną) wziąłem od najnowszych pisarzy galicyjskich!)

Spełniłem moje! Macie panie przed sobą to, na co zdobyła się stolica świata! czem nowy rok zaczyna! — Jeśli zajdą jakie zmiany, to chyba nad Renem i innemi wodami; ale co tu przedstawia rycina — to pozostanie nieobalone żadną potęgą, aż do środy popielcowej, która przez blisko dwa tysiące lat prowadzi wojnę z karnawałem, i zaledwie dzwonem zażegnać, a pogrzebać go ona zdoła — w popiele... tak jest! w popiele, ażeby po roku znowu powstał, jak ów feniks starożytny i porwał w swoje objęcia (znowu figura!) płeć piękną i nie piękną, (Tej ostatniej przyjemności wcale karnawałowi nie zazdroszczę!) aż do nowych dzwonów i popielnicy.

Popioł... Jak to nieładnie odbija od kwiatów i balowego stroju!... Wiosna życia, śmiech, róże, wir tańcu — a obok tego: nicość, garstka prochu... Szkaradnie! Dla czego nam wzbraniają młodości?... poco twarz fałdują w zmarszczki i gaszą blask oka?... Nie chcę myśleć o popiele! Niech żyją kwiaty! wieczna młodość i chociażby szał wesela... To lepsze, aniżeli trunna!

Zkąd mi te ponure myśli? dla czego rok nowy tak mię grobowo nastroił, mnie co śmiać się lubię, chociażby uda-

jąć? To wina mrozu, wina śniegowej zawiei! Tak nie dawno jeszcze byłem pod niebem Francji, cały świat piękny widziałem strojny w jesienne ubiory... i to mi przypomina, że mody „Nowin“ jakby nie wiedziały o zimie. Tak jest! nie wiedzą, bo i Paryż o niej nie wie; a skoro Paryż nie wie — nikt wiedzieć nie powinien, chociażby oddech w powietrzu zamarzał!... „Nowiny“ otrzymują wskazówki z Paryża — w Paryżu wiedzą o naszej zimie tylko z gazet — „Nowiny“ zatem nie mają obowiązku mówić o modach zimowych... a przecież mówią — mówią memi usty, raczej za sprawą mego pióra, a najwłaściwiej: za pomocą drukarskiej prasy.

Suknie zimowe noszone obecnie w Paryżu robią się z aksamitu angielskiego (manchester) i bywają okładane futrem — zwykle bobrowem; kobiety mniej zamożne używają tomaków, piżmowców i baranków astrachańskich. Tak samo okłada się futrem reszta ubrania, bo zarękawki i kapelusz.

Przy najbliższym numerze „Nowin“ podaną będzie rycina przedstawiająca strój zimowy, o którym mowa.

Suknie domowe i do wyjścia lekko podwatowane, robią się z t. z. Foulard des Jndes, ubierane atlasem zastosowanym do koloru sukni. W ogóle atlas odegrywa teraz wielką rolę w toalecie Dam, idąc o lepsze ze złotem — fałszywem...

Niestety! Wiek nasz już zdobyć się może tylko na blichtry! Mam podejrzenie, że złoto wywieźli synowie Izraela cichaczem na księżyc, bo go już dawno nie widzimy nigdzie... Ciężkie czasy! a miarę biorę z tego, że jeszcze dwa tysiące prenumeratorek nie odczytuje moich p o g a d a n e k, i to mię nabawia złego humoru, to może nawet podyktowało mi słowa o popiele i trunnach... Brr! jeszcze raz zadrżałem. Pustki w kasie, to także śmierć męcząca!... i wtedy nie marzy się o muzyce i kwiatach, nie marzy się nawet — o płci pięknej... Mówię z doświadczenia! a nie chcąc Pań dłużej nudzić, kończę wiadomością, że Lwów ma wreszcie ł a b ę d z i ą, c z a r u j ą c ą — mantylkę... o czem świadczy p. Lewicki.

Nigdy nie wyrzekałem się myśli, że łabędź wyjdzie z pod mego pióra różnopostaciowo — ale by mu się chciało zostać mantylką... o tem nie śniłem. Jowiszu! wszak zbliżając się do Wenus, byłeś łabędziem... Biały ptaku! byłeś Jowiszem; a teraz — mantylką... Horror! Kończę, bo to mi przypomina moje własne dzieje, z którémi może kiedyś zapoznam piękne czytelniczki... *Au revoire!* *Modny.*

P. S. Dwa tysiące prenumeratorek spać mi nie dały... (*Uwaga nazajutrz po napisaniu*).

= N a z a ż ą d a n i e f r a n k o, p r z y s ł a n ą z o s t a n i e, d o ł ą c z o n a d o d z i s i e j s z e g o n u m e r u, r y c i n a p r z e d s t a w i a j ą c a d z i e w i ę ć s t r o j ó w b a l o w y c h, n a w e t i t y m, k t ó r z y P i s m a n a s z e g o n i e p r e n u m e r u j ą.

Rozmaitości.

Na lwowskim bruku. „Prawda w oczy kole“ powiada przysłowie; a ja bardzo cenię oczy ludzkie... „W żarcie jest połowa prawdy“ mówi przysłowie inne. No, p o ł o w a nie jest kolącą!... Korzystam więc z tego, i zaczynam — żartować.

To żart, że w naszej stolicy ciemno, chociaż ją oświecamy — gazem... to żart, że w naszych kieszeniach jasno, chociaż dukatowe słońce dawno w nich nie świeci! To żart, że pan Miłaszewski, pod swoje skrzydło bierze teatr niemiecki, i że pewne pisma stołeczne nie mają u siebie ludzi umiejących poprawnie pisać... To wszystko żarty! Ale to prawda... Hola! o prawdzie ani słowa, bo „Nowiny“ gotowe wypaść z łaski poobiednich czytelników.

Apropos poobiedzia... To bardzo pomaga do strawności.

Pan A. z panną B. kochali się żartem, i niechcący zostali małżeństwem. Żartowali — c a ł y m i e s i ą c, a po miesiącu pewna bagatelka n a s e r j o poróżniła młodą parę: pan mąż wcale nie żartem drapnął od swej połowicy, a pani żona obeszła się bez g ł o w y d o m u... Była by to szczera prawda, gdyby się żart w to nie wmieszał.

Panna A. ż a r t e m czytując romasne w y e m a n c y p o w a ł a s i ę... ale ktoś ją niedawno widział w towarzystwie siedmiu szpiców, uważnie patrzącą na kabałę przez wielkie okulary, umieszczone na fałdzistym nosie... Lecz pan B. z u p e ł n i e s e r j o całe życie polował na posagi, a żartowniś los, z prostych figlów, powyjmował mu zęby, zabrał włosy, i sadowiąc za długi do rozmaitych więzień, osadził wreszcie — w szpitalu!

Zdarza się pomiędzy nami, że drwimy z rzeczy ojczystych, hołdując obczyźnie; ale też s e r j o, zasiadamy szare końce, służąc za piłkę w ręku umiejętnych graczów! Tylko d l a ż a r t ó w stronimy od nauki, ale za to s e r j o jesteśmy...... Niechaj skończy domysł, bo ja lękam się spotkania z prawdą, która mię może poróżnić z pewnym d o b r z e u r o d z o n y m, choć niskiego wzrostu, utrzymującym, że przedstawienia w cyrku Hüttemana przewyższają oratorjum Hajdna, a modny cylinder jest skończoną doskonałością!... Z innego zacznę tonu.

„Człowiek nie umiera...“ „Człowiek zawsze żyje...“ powiadają filozofowie. Czy też nieboszczyk Nowakowski mógł się spodziewać, że będzie żył — w panu Tomaszewiczu, w teatrze Sztengla!... Przecież o tem świadczy pewien krytyk teatralny, na którego pociechę powiem, że inni jego koledzy widzą Nowakowskiego w pp. M o d r z e j o w s k i m, I w a ń s k i m, ba nawet w p. Ł o b o j c e!... Jeżeli prawdziwemi są słowa krytyka — w kimże na Boga żyć będzie p. Tomaszewicz?... Zaczynam się tem interesować na serjo!... O, błogosławiona domorosła krytyko! tyś z pewnością nie czytała artykułu o tobie p e w n e g o hrabiego, którego p e w n y znowu Tygodnik zaliczył do znakomitości literackich!

Co państwo myślicie o karnawale? o śniegu, który wagony zasypuje? o drożyźnie nabiału? o kwiatach zeszłorocznych? o b i a ł y m c a r z e?... Brrr! zimny dreszcz mię przeszedł, jakbym miał iść na dramat n i e m i e c k i.

Nowy rok czy obaczy Napoleona śpiewakiem w kaplicy Sykstyńskiej? czy skasuje szyniony dam i ogony ich sukień? czy da nam — pieniędzy?...

O, nowy roku! Co niesiesz w troku?
Na wierzbie gruszki? czy też poduszki?...
A psotny los da trzos, czy nos?
Czy wieniec wije? czy niesie kije?
Czy rozum raz odwidzi nas...
Czy zawsze my zastaniem — kpy?!

(*Z niewydanych poezyj ks. Baki*).

* Magazyn mód Władysława Lewickiego przyjmuje prenumeratę na „Nowiny,“ i osoby, które się zaprenumerują, będą mogły dziennik nasz odbierać w pomienionym magazynie.

* Rok przeszło, jak umarł pomiędzy nami znakomity artysta, niepośledni kompozytor i głównie zbieracz melodyj pieśni ludowych ukraińskich F e l i k s L i p i ń s k i, a jak za życia nie oddaliśmy mu wedle zasług, tak i po śmierci ociągamy się z wypełnieniem obowiązku.

Sława Karola Lipińskiego, brata Feliksa, przeszkodziła zmarłemu do pozyskania rozgłosu, na który talent jego zasługiwał; umarł nie dość poznany, a mało kto wie w Kraju, że pozostawił on w rękopismach rzeczy niepośledniej wartości, o których Liszt, przyjaciel zmarłego, w najnowszym swym liście do wdowy, mówi z wielką pochwałą.

Rzeczy te mają być wydane staraniem pani Salomei Lipińskiej, żony zmarłego, która ogłasza prenumeratę początkowie na dwa utwory ś. p. Feliksa: jedno p. t. S c é n e d r a m a t i q u e d e l a p o e s i e: M o h r t d e V i n c e n t P o l — dediée à Mr. Fr. Liszt; a drugie: A t o i m o n a m i. Cena przedpłaty 3 złr., które przysyłać należy pod adresem: Salomei Lipińskiej. Ulica Pańska, dom Kalinowskiego w Rzeszowie.

* *Halkę* Moniuszki mają przedstawiać na teatrze opery w Petersburgu, rozumie się w przekładzie moskiewskim.

* Pisma amerykańskie donoszą, że odkryto grób Franklina, który zginął w wyprawie na morzu lodowatem.

* Wkrótce opuści prasę drugi zeszyt „Strzechy“ i będzie zawierać: 1) B e z i m i e n n a, Bolesławity (c. d.) z dwoma rycinami. 2) Przy

łuczywie, wiersz Fr. Waligórskiego. 3) Walbumie pani B... d'E..., wiersz J. I. Kraszewskiego. 4) Tatry, obrazek geograficzny Ł. Tatomira, z trzema rycinami. 5) Czartowa góra, opowieść kozacka P. Stachurskiego, z trzema rycinami. 6) Ślub królewski, wspomnienie historyczne Wład. Zawadzkiego. 7) Kronika z kraju i ze świata. 8) Zapiski z bibliografji polskiej z r. 1867.

* Mówić o przewrotności moskalofilów galicyjskich — jest to głosić rzecz powszechnie znaną. Za miarę jej posłuży fakt następujący: „Słowo“ głosi w każdym N. że używa języka wykształconego (zkoszlawionego raczej!) bo ruski język prawdziwy, jako chłopski, nie może być piśmiennym; i w rzeczy samej redakcja „Słowa“ wierną jest wypowiedzeniu, gdyż swą gazetę drukuje w języku, którego rusin z trudnością zrozumieć potrafi, a bardzo często pisze szczerze po moskiewsku. Ale jak skoro „Słowu“ potrzeba rzecz jaką uczynić dla ogółu przystępną — natychmiast zjawia się znajomość narodowego języka, i słowo chłopskie staje się zdolnem wyrazić rzecz piśmienną! Tak się stało z drukującą się obecnie w Haliczaninie (dodatek „Słowa“) ramotą moskiewską p. t. Życie za cara, którą p. Dziedzicki ogłasza w przekładzie na ludowy język ruski. Więc elementarz wydać w języku ruskim niepodobna, bo nie wykształcony! a *Żiźń za caria* przetłumaczyć na ten język można?... O, że też podobne indywidua mogą się z nami spotykać w miejscach publicznych! Do klatek, na wystawę z niemi! urządzoną w celu okazania światu egzemplarzy rzadkiej przewrotności!...

* Godzina w Ameryce. Pewien potomek czystej krwi jankesów, którego niepomiernie gniewało, iż więcej aniżeli ojciec jego miał już podobieństwa do znienawidzonych Indjan, jechał w interesie handlowym do Nowego Yorku, i nudząc się powolnością jazdy, która tylko 12 mil wynosiła na godzinę, rozmyślał czy ma przystąpić do wyliczenia: ile zysku przyniesie mu uprawa bawełny przedsiębrana z kapitałem znaczniejszym? czy też rozpatrzyć się w towarzystwie jadącem z nim w jednym wagonie? Wybrał to ostatnie, i rozpoczął przegląd. W wagonie było kilku plantatorów, bankier, ksiądz i dwóch ludzi prawa — osobistości mało interesujące jankesa jadącego koleją; za nimi... niewątpliwie! piękna jakaś Miss, spokojnie pali cygaro, i siwem okiem patrzy przez okno wagonu. Miss paląca cygaro i patrząca przez okno wagonu — ma w sobie wiele interesującego dla jankesa, tak wiele, że nasz obywatel wolnych Stanów Ameryki, postanowił usiąść przy pięknej Miss, i jeśli nie będzie mieć nic przeciwko temu rozpocząć z nią rozmowę.

Pokazało się, że Miss nie miała nic przeciwko zawiązaniu rozmowy z amerykaninem, nawet z gotowością ofiarowała mu cygaro dla zapalenia świeżej hawanny. Zapalając cygaro, jankes przekonał się, że nieznajoma Miss jest rzeczywiście piękną po amerykańsku, i ma rzadkie kończaste zęby, co się wielu ludziom bardzo podoba. Jankes odkaszlnął i zaczął rozmowę, która wkrótce zbliżyła do siebie amerykańską parę. Miss Round była wolną, a John Thorn uczuł nagle niewymowną chęć ujrzenia Miss Round w charakterze Mistriss Thorn, i chęć tę wynurzył towarzyszce jazdy wagonowej. Miss na chwilę odjęła cygaro od ust, obejrzała John Thorn'a od stóp do głów, i „Zgoda“ rzekła, podając mu swą rękę.

Jankes najspokojniej wstał ze swego miejsca, przywołał notarjusza i księdza; spisano akt urzędowy, kapłan odmówił modlitwę — i Miss przestała być Miss, zostawszy Mistriss Thorn, której mąż czuł się w zupełnem prawie uściskania swej żony, i nie omieszkał tego uczynić w przytomności plantatorów, bankiera, księdza i ludzi prawa; ale nie widział drzemiącego w kącie innego Jankesa, który na nieszczęście dojrzał uścisk; a przekonany, że szlachetny Jankes krzywdzi szlachetną Miss — tak się znalazł w obec nowożeńca, że ten widział się zmuszonym prosić go o krok, gdy wagon się zatrzymał na minut 10. Pojedynek tylu minut nie potrzebował... Szlachetny Thorn padł ugodzony kulą, a niewpierw skonał, aż oświeciwszy przeciwnika, iż własną ściskał żonę, że zatem umiera nieuchybiwszy kobiecie. Zwycięzca mocno zmartwiony swoją pomyłką przyniósł wdowie smutną wiadomość, i w zadość uczynienie ofiarował jej swą rękę. A ponieważ był w jednym wieku z nieboszczykiem i miał takież jak on bokobrody — otrzymał rękę, i przez tegoż samego księdza nowy związek został pobłogosławionym.

Poznanie się, zamęźcie, owdowienie i ślub powtórny zabrały czasu godzinę — jak świadczyli obecni w wagonie.

Dodatek: Wielka kolorowana rycina strojów balowych.

Od wydawnictwa.

«Nowiny» w roku bieżącym będą nadal wychodzić w formacie arkuszowym raz w tygodniu, z dodatkiem: muzykaljów, kolorowanych rycin mód, wzorów i krojów z opisami. Przyjęliśmy za zasadę podawać najświeższe mody paryzkie tak, ażeby wyprzedzać dzienniki niemieckie jak «Bazar» i inne, w jakowym celu odbieramy z Paryża wskazówki regularnie co tygodnia, i do wzorów stosujemy nasze roboty, dokonywane przez zdolnych miejscowych pracowników, a mamy nadzieję zadowolić w zupełności wymagania Szanownych Prenumeratorów, o ile pozwoli nam na to zbyt skromna cena prenumeraty naszego Pisma, która wynosi jak dotychczas:

kwartalnie **1** złr., półrocznie **2** złr., rocznie **4** złr. Z dodatkiem: kwartalnie **2** złr., półrocznie **4** złr., rocznie **8** złr., za przesyłkę pocztową dolicza się **15** cent. kwartalnie. — Cena numerów z roku ubiegłego z przesyłką **60** cent. z dodatkami **1** złr. **10** cent.

Prenumerować można adresując wprost: Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni *Kornela Pillera*, albo też wraz z „Gazetą Narodową,“ i w Ajencjach naszego Pisma: w Krakowie w księgarni *J. Czecha*, w rynku; w Tarnowie w drukarni i antykwarni *A. Rusinowskiego;* w Nowym Sączu w drukarni *Józefa Pisza;* w Wadowicach w księgarni *F. Foltina;* w Rzeszowie w księgarni *Pellara;* w Tarnopolu w księgarni *Csillika;* w Brzeżanach w handlu *E. Merla;* w Kołomyi w księgarni *Zadembskiego;* w Czerniowcach i Suczawie w księgarni *Szęgierskiego;* w Stanisławowie w księgarni *Milikowskiego* i w Samborze w księgarni *Karola Wilda*, a także na wszystkich stacjach pocztowych. — Na Wielkie Księstwo Poznańskie i Prusy ajencja „Nowin“ w księgarni *M. Leitgebra* w Poznaniu.

Za dołączeniem **5** złr. można otrzymać już wyszłe 4 zeszyty „Sioła“ pisma poświęconego rzeczom ludowym Ukraińsko-ruskim (czcionkami polskiemi), w którem obok wielu artykułów niepośledniej wartości znajdują się jeszcze nigdzie niedrukowane poezje Bohdana Zaleskiego i Teofila Lenartowicza.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.